

Jan Sikorski

część I z VI

Sygnatura notacji: **N0061**

Data urodzenia: **12.11.1935 r.**

Data nagrania: **28.08.2007 r.**

Miejsce nagrania: **Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Bogdan Krawczyk**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 62 min, część III: 55 min,
część IV: 56 min, część V: 60 min, część VI: 22 mi**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ksiądz Jan Sikorski: Dzisiaj mamy dzień 18 sierpnia i nagrywamy szereg wiadomości, informacji z mojego życia.

Bogdan Krawczyk: A więc kiedyż ono się zaczęło?

Ksiądz Jan Sikorski: Duchowe życie to się zaczęło jeszcze przed moim urodzeniem. Moja mama, która miała 2 dorodne córki, marzyła o synu. I specjalnie pojechała do Częstochowy z pielgrzymką, żeby Matka Boża jakoś załatwiła, żeby w jej rodzinie pojawił się syn. I mówi, że miała takie natchnienie, kiedy tam klęczała przed obrazem, powiedziała: „Matko Boża, ja tak bardzo pragnę mieć syna. Ty też miałaś syna, ja też chcę mieć syna. A jeżeli on się już urodzi, to ja Ci go ofiaruję na Twoją służbę. Rób z nim, co chcesz”. I tak się zaczęło. Matka Boża wysłuchała. I urodził się taki Jaś. Upragniony syn. A działo się to w Kaliszu 12 listopada 1935 roku, tuż po Świącie Niepodległości.

Bogdan Krawczyk: Państwo Sikorscy mieli wcześniej jakieś dzieci?

Ksiądz Jan Sikorski: Miałem dwie starsze siostry. Jedna była starsza ode mnie o 8 lat, druga o 4 lata. I potem pojawiłem się ja. Pierwsza moja siostra urodziła się w Warszawie, bo tu rodzice mieszkali, tu się poznali, tu wzięli ślub w obecnej katedrze praskiej św. Floriana, a potem przenieśli się do Kalisza. Tam ojciec miał prowadzić firmę odzieżową i tam zamieszkali. Było to dzień po Świącie Niepodległości. Taka ciekawostka, że właśnie w to święto poświęcono w Kaliszu bardzo piękny most. I ta data istnieje do dzisiaj. Jak sobie spaceruję po tym moście i tak się zawsze zastanawiam, kto z nas dłużej wytrzyma. Most się trzyma dobrze, to ja też jeszcze tak bardzo nie narzekam. W Kaliszu

to było piękne, bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Otoczony byłem miłością rodziców. Moi rodzice oboje się modlili o dobrego męża i o dobrą żonę. Kiedy opowiadali mi, kiedy się poznali, zobaczyli się pierwszy raz w życiu, ojciec powiedział: „To będzie ta albo żadna”. A mama bardzo zainteresowała się właśnie moim ojcem i mówi: „O, to jakiś ciekawy człowiek”. I tak się zaczęło. I przeżyli już potem wspólnie długie lata. Miałem to szczęście, że właśnie byłem bardzo kochany przez rodziców i przez obie moje siostry. I wszystko było wspaniale do roku '39, kiedy wybuchła wojna. Pamiętam, jeszcze jako mały chłopiec, mój ojciec chrzestny przyniósł mi na imieniny karabin i mówi: „Słuchaj, bo tu mogą przyjść Niemcy, żebyś dobrze strzelał”. I to taki wątek zapamiętałem z czasów jeszcze przedwojennych. Pamiętałem też, mieszkaliśmy na głównej ulicy w Kaliszu, jak odbywały się różne defilady wojskowe w czasie świąt narodowych. I potem, kiedy wkroczyli Niemcy, przynieśli do naszego domu ogromną flagę ze swastyką. I każde mieszkanie musiało być tą flagą ozdobione, ponieważ myśmy już należeli wtedy do tak zwanego Warthegau, Krainy Warty. A więc to już dominacja była niemiecka. I kiedy widziałem na dole defilujących żołnierzy niemieckich, wiem, że stojąc na balkonie z ojcem, powiedziałem: „Tato, czy ja już nigdy nie zobaczę polskich żołnierzy?”. Wiem, że ojciec był wtedy bardzo wzruszony, a ja tak jakoś już orientowałem się, że coś z naszą Polską jest niedobrze. Tak już potem zawsze jakoś w sercu tę Polskę nosiłem i troskę o nią, i myśl o niej, i modlitwę za nią. Niedługo mieszkaliśmy w Kaliszu, ponieważ ulica była główna, mieszkanie dość takie komfortowe. Więc w czasie, pamiętam, posiłków, przychodzili Niemcy i oglądali to mieszkanie. Był to taki widok troszkę surrealistyczny, że my siedzimy na przykład przy obiedzie, jemy obiad, a Niemcy przychodzą różnego rodzaju, cywile, i mówią, gdzie co ustawiać, jak będą meble w tym domu stały. Wiedzieliśmy, że zostaniemy stamtąd usunięci, wyrzuceni, wysiedleni. Mieliśmy przed wojną dość dużo znajomych, w tym również Niemców z pochodzenia, którzy w sposób naturalny stali się folksdojczami. Nadal utrzymywali kontakty z moimi rodzicami i nawet ich prosili, że możemy wam ułatwić pozostanie tutaj w Kaliszu, ale trzeba podpisać folkslistę. Mama moja miała z domu niemieckie nazwisko. Więc mówią: „To jakoś tam możemy zakreślić, że pani jest Niemką, i będzie wszystko dobrze”. A to jest proboszcz parafii św. Józefa. Jedna z parafianek w czasie kolejnych imienin ofiarowała taki prezent. Jest ona amatorką. Nie jest to dzieło artystyczne. Ale na pewno znak dobrego serca. Dlatego portret nie został gdzieś schowany za szafą, tylko wprawdzie bez ram, ale tak powieszony, nawet chyba nie przeze mnie, i tak wisi do tej pory. Przyglądam się sobie, jaki kiedyś byłem. Jak wspominałem, jest to proboszcz parafii św. Józefa, ksiądz Jan Sikorski, który w tej parafii jako proboszcz pracował przez 20 lat.

Bogdan Krawczyk: Która to była z rządu parafia?

Ksiądz Jan Sikorski: Bo przedtem była jeszcze długa droga. – Jako parafia, w której proboszczowałem, to była to pierwsza i jedyna moja parafia. O dziwo, w czasie swoich studiów specjalistycznych na KUL-u, studiując tak zwaną teologię pastoralną, właśnie zajmowałem się parafią, ponieważ ta dziedzina pracy u księdza mnie najbardziej zawsze interesowała. I tak los okazał się dziwny, że wszyscy moi koledzy już dawno byli proboszczami, a ja ciągle robiłem co innego i tym proboszczem nie zostawałem. Zostałem chyba jako ostatni spośród moich rówieśników proboszczem, dlatego ta parafia, tak późno ją otrzymałem, była moją pierwszą i ostatnią w moim życiu parafią. – 20 lat temu to kawał czasu.

Bogdan Krawczyk: Co było wcześniej?

Ksiądz Jan Sikorski: Zanim objąłem tę parafię, wcześniej pracowałem jako ojciec duchowny i wykładowca w Se-

minarium Metropolitalnym Warszawskim. W tym czasie był taki szczyt powołaniowy w seminarium. Kleryków było prawie 400.

Bogdan Krawczyk: A jakie to były lata?

Ksiądz Jan Sikorski: To były lata 1979 do 1985. 1976 do 1986 właściwie, że prawie 7 lat pracowałem tam w seminarium. Nigdy też nie spodziewałem się, że właśnie takie stanowisko obejmę. Bardzo mnie namawiał na przyjęcie tej funkcji ksiądz kardynał Stefan Wyszyński. Pamiętam, bo mi ta rozmowa oczywiście utknęła w pamięci. Ta audycja to była najdłuższa moja audycja w życiu z kardynałem. Trwała bardzo długo, kapelan tam pukał, przerywał nasze rozmowy, Prymas machał ręką, żeby nie przeszkadzał. I tak mnie próbował nakłonić, bardzo delikatnie, bo mógł wydać rozkaz i bym odmaszerował, ale on bardzo serdecznie, ciepło ze mną rozmawiał. Ponieważ zawsze marzyłem o pracy z ludźmi w parafii, więc ten kierunek tak nie bardzo mi odpowiadał. On zaczął wspominać swoją młodość, swoje wyprawy, wycieczki. Niektóre trasy się pokrywały z tymi, które ja lubiłem. I tak atmosfera zrobiła się tak ciepła, że kiedy mnie zapytał: „No to co? To się zgadzasz?”, cóż było powiedzieć, oczywiście się zgodziłem. Prosiłem tylko, żeby nie za długo, żeby to trwało kilka lat, powiedzmy pięć. Trwało trochę dłużej. – Jak dobre małżeństwa.

Bogdan Krawczyk: Pierwszy kontakt z Prymasem Tysiąclecia ksiądz mógłby przypomnieć?

Ksiądz Jan Sikorski: W życiu swoim jakoś nigdy nie miałem żadnych idoli. Zawsze tak patrzyłem z dystansem na wszystkich. Starałem się szanować wszystkich ludzi, doceniać ich wielkość. Natomiast mogę to śmiało powiedzieć dzisiaj, że jeżeli ktoś na mnie wywarł jakiś wpływ w życiu taki naprawdę wielki, decydujący i był jak gdyby idolem dla mnie, to był właśnie kardynał Wyszyński. Pamiętam chwilę, kiedy zmarł kardynał Hlond i nasz prefekt na lekcji religii mówi, że właśnie na jego miejsce został mianowany biskupem biskup z Lublina Stefan Wyszyński. I tak mówi: „Znam, to jest mój profesor, ale on niestety ma słabe zdrowie”. I tak sobie wtedy pomyślałem, że szkoda, że takie ważne stanowisko przyjmuje człowiek o słabym zdrowiu. Ale potem przyszło zupełnie co innego. Dochodziły wiadomości o wystąpieniach księdza kardynała, jeszcze wtedy biskupa, arcybiskupa Warszawy, pisała niedużo prasa w formie negatywnej. Natomiast kiedy przyszedłem do seminarium i miałem okazję zetknąć się z nim twarzą w twarz, oczywiście jako kleryk, jeden z tłumu, a on odwiedzał nas w seminarium, byłem za każdym razem poruszony jego postawą, jego słowami, jego głęboką wiarą i mocą, z jaką przemawiał. Jeżeli można o kimś powiedzieć, że jest księciem Kościoła, to rzeczywiście on był nim w każdym calu. Potem miałem takie miłe przeżycie, kiedy otrzymałem na pierwszym roku seminarium sutannę, a miałem wtedy właściwie chyba 17 lat, bo bardzo wcześnie poszedłem do tego seminarium, maturę zdałem bardzo szybko. Więc jeszcze tak nie bardzo wiedziałem, jak się w tej sutannie chodzi. I nie wiem dlaczego, może dlatego, że wyróżniałem się płomienną fryzurą, wyznaczono mnie do niesienia pastorału na procesji Bożego Ciała przed księdzem kardynałem. Ubrany byłem tak bardzo bogato i szedłem tak oddzielony od innych, z tym pastorałem przed sobą, za mną oczywiście ksiądz kardynał. I w związku z tym, że ten pastorał trzymałem, mogłem stanąć bardzo blisko kardynała w czasie jego kazania na końcu procesji Bożego Ciała u św. Anny. I to było to kazanie bardzo takie znamienne, kiedy, przewidując swoje aresztowanie, o czym oczywiście myśmy nie myśleli, tej myśli nie dopuszczali, mówił wtedy, i pamiętam to zdanie, że „nie pozwolę siadać carom na ołtarzach”. I mówił to z taką potęgą, z taką mocą. Ludzie w wielkiej ciszy wtedy wysłuchali tych jego słów. Szczegółów

tego kazania już dokładnie nie pamiętam.

Bogdan Krawczyk: To był rok 1952 czy już 1953?

Ksiądz Jan Sikorski: 1953, to był rok 1953, tak. – Czyli po śmierci Stalina. – Już po śmierci Stalina, ale ten duch jeszcze stalinowski oczywiście trwał. Myśmy wiedzieli, że może się wydarzyć coś złego, w seminarium chodziły różne plotki, mówiło się o rozwiązanych innych seminariach w Czechach, w Czechosłowacji, że szykuje się również u nas coś podobnego. A więc sytuacja była naprawdę bardzo napięta, bardzo niebezpieczna. Myśmy sądzili, że księżmi chcemy być, to pewnie będziemy, tylko raczej tajnymi, że prawdopodobnie nie uda nam się skończyć seminarium w takiej formie, w jakiej uczęszczaliśmy, tylko że trzeba będzie jakiś, tak jak to niedawno w okupacji jeszcze odbywały się te różne studia, prawda, takie tajne. Więc sytuacja była bardzo napięta. Pamiętam, że wracaliśmy nieraz po takich wystąpieniach księdza Prymasa, choćby po tym Bożym Ciele, i między kolegami zastanawialiśmy się, co będzie. Byliśmy ogólnie zdania i przekonania i chyba sam kiedyś nawet głośno zdanie wypowiedziałem: „Kochani, dopóki mamy takiego Prymasa, to możemy być spokojni”. I potem przyszła ta dramatyczna wieść, że Prymas po prostu zniknął z horyzontu. Nie wiedzieliśmy, co się z nim dzieje. Różne były domysły. – Kiedy ta wieść dotarła do seminarium?

Bogdan Krawczyk: Albo w jakiej formie?

Ksiądz Jan Sikorski: Nasi profesorowie nam powiedzieli, że ksiądz Prymas tej nocy został wywieziony. Nie wiedzieliśmy dokąd, co się dzieje, dlaczego, jak, tylko że po prostu nie mamy arcypasterza. Pamiętam wykłady. Wtedy jeden z profesorów przyszedł i mówi: „Wielki to cios dla Kościoła. Ale, kochani, Kościół jest wieczny. Pracujemy normalnie”. –

Bogdan Krawczyk: Co się dzieje wtedy w takim stadku jak właśnie klerycy? Co się działo w seminarium? O klimat pytam.

Ksiądz Jan Sikorski: Ja myślę, że, o ile pamiętam, byliśmy bardzo mocno wtedy przerażeni. Poza tym kochaliśmy księdza Prymasa. To była dla nas, tak jak wspominałem, dla mnie postać taka niemalże do idola zbliżona. To wszyscy wiedzieliśmy, że on jakoś trzyma w rękę tę sytuację Kościoła w Polsce, że jest on znakiem tej potęgi, tej niezłomności. I kiedy się dowiedzieliśmy, że właśnie w niego padło uderzenie, byliśmy przekonani, że następne uderzenie to będzie właśnie w seminarium. I spodziewaliśmy się nawet jakiejś rozsypki tego seminarium. Niemniej właśnie postawa profesorów, która była tak bardzo zdecydowana, jakoś nas tak utrzymywała w nadziei. Poza tym wtedy państwo poczyniło takie pewne gesty rzekomo pojednawcze. Rektorem mojego seminarium był biskup Pawłowski, biskup nominat, który nie mógł objąć swojej wrocławskiej diecezji. Był biskupem, to się nazywa nominatem, czyli nominowany. Już chodził w stroju biskupim, choć podobno nie miał sakry, czyli tych święceń biskupich. Jak się potem okazało, to on już je miał, bo po cichu je przyjął, ale państwo pozwoliło mu objąć diecezję wrocławską. Nawet żeśmy wtedy, pamiętam, trochę się dziwili, że biskup tę nominację w takiej sytuacji przyjął. Tak między chłopakami to właśnie była taka rozmowa, że niektórzy z nas pewnie gdyby byli w jego sytuacji, trudno to porównywać dojrzałego kapłana i biskupa do mentalności kleryckiej, ale byliśmy tak nastawieni bojowo, pamiętam, że myśleliśmy sobie wtedy: „No, mógłby właściwie zaprotestować i nie przyjmować tego stanowiska”. Poza tym został mianowany łódzki biskup Klepacz

przedstawicielem Episkopatu. Wiedzieliśmy, że biskupi podpisali taką listę lojalności wobec państwa. Nie było tam zgody na uwięzienie Prymasa, ale w podtekście jakoś to się mieściło. Oni byli zobowiązani wtedy do zaprzestania działań przeciwko, jak to stwierdzał dokument, przeciwko Polsce, przeciwko rządowi, właściwie przeciwko ustrojowi. Tak. Więc oni to wtedy podpisali. Przyznam się, że też my jako młode takie wilczki byliśmy troszeczkę tym zdeglustowani, tym bardziej że doszła do nas wieść, że administrator diecezji olsztyńskiej infułat Zink właśnie nie podpisał tej takiej listy lojalności. Pamiętam, żeśmy właśnie to jego nazwisko, chociaż nie znaliśmy go, ze czcią wtedy wymawiali. Gdy chodzi o podpisanie ugody z państwem przez księdza kardynała Wyszyńskiego, to on kiedyś, bodaj nawet w seminarium, powiedział do nas, że taką ugodę podpisał dlatego, żeby w rozmowach mieć się o co oprzeć. Że rozmowy mogły przyjąć formę awantury, która nic nie daje. A jeżeli jest jakiś papier, to można się do niego odwołać. Komuniści byli bardzo wrażliwi, by okazywać się na zewnątrz jako lojalni, demokratyczni rządcy tego kraju i pracownicy ustroju. Więc w tych tekstach oni byli dosyć ugodowi i kiedy się czyta dzisiaj tę umowę, ona jest bardzo korzystna dla Kościoła, powiedzmy, w tamtych warunkach korzystna. Oczywiście oni nie dochowywali prawie żadnego punktu. Niemniej ksiądz Prymas, będąc wspaniałym dyplomatą i dobrym prawnikiem, wiedział, że w rozmowach nie kłóci się z nimi, tylko odwołuje się do przepisów. I to ta ugoda, powiedzmy, była może przez niektórych źle widziana jako w ogóle gest wyciągnięty do tych nowych władz. Atmosfera, klimat był taki, że należy nimi gardzić, że nie należy z nimi rozmawiać, że po prostu to jest jakaś, mówiąc krótko, hołota, która dorwała się do władzy, i trzeba ją po prostu ignorować. Ksiądz Prymas jakoś stanął ponad tym i wiedział, że co o nich sądzimy, to wszyscy jesteśmy zgodni, natomiast są oni jakoś tam reprezentantami legalnej władzy i dlatego to podpisał. Drugi problem to był tak zwany księży patriotów. Tu nasze serca były rozdwojone, bo niektórzy z nich byli naszymi wykładowcami. Pamiętam księdza Jana Czuję, który był bardzo dobrym naukowcem, bardzo sympatycznym wykładowcą i w ogóle bardzo dobrym człowiekiem, przedwojennym posłem, politykiem przedwojennym. Opowiadał często nawet takie żartobliwe wydarzenia z sejmu z tych różnych przedwojennych historii, jakie się działy w parlamencie. Potem taki był ksiądz Huet, który wykładał teologię moralną, również sympatyczny kapłan dla nas studentów. A krążyło między nami takie powiedzenie: „Jak jest po chińsku ksiądz patriota Huet Jan Czuj”. Więc z jednej strony żartowaliśmy sobie z nich, z drugiej strony widzieliśmy, że są to ludzie jakoś oddani Kościołowi, uwikłani w jakiś osobisty, nie wiem, dramat, którego, przyznam się szczerze, wtedy nie bardzo rozumieliśmy, jak do tego podejść. Bo spotykaliśmy z tymi ludźmi, którzy stanowili swoją wartość i autorytet naukowy, i ludzki, i moralny. Z drugiej strony uwikłani byli w te jakieś kontakty z państwem. Pamiętam, tuż przed wstąpieniem do seminarium, akurat byłem na wakacjach w Sopocie, wiem, gdzie to było, na moło, akurat kiedy tam sobie spacerowałem, już będąc formalnie do seminarium przyjęty z tym zamiarem, ale jeszcze takie wakacje świeckie, i słyszę, jak właśnie ktoś przemawia, już nie wiem kto, któryś z naszych oficjeli, że zapewniamy, że wszelkie relikty ciemnoty, zacofania, ciemnogrodu religianctwa zostaną w Polsce zduszone, zniszczone, i zapewniamy wszystkim, że tam świetlana przyszłość przed nami, postęp itd. Ja sobie tak wtedy pomyślałem: „Sikorski, w co ty się pakujesz? Idziesz gdzieś, gdzie będziesz skazany według tych słów na wycięcie”. – Z takim nazwiskiem. – I jeszcze z takim nazwiskiem. Ale to tak pamiętam, że taką miałem refleksję wtedy, ale raczej była w takiej płaszczyźnie trochę żartu. Wiedziałem, że do seminarium chcę pójść, księdzem chcę zostać. Na to już byłem nastawiony. Przed maturą bardzo głośno się do tego nie przyznawałem. Koledzy wiedzieli, nawet nieraz tam mnie przezywali kapelanem, bo gdzieś tam powiedziałem, że będę księdzem, choć oficjalnie nie, oficjalnie złożyłem papiery na medycynę. Zresztą w domu nawet bardzo mi to wszyscy radzili. Moja siostra w tym czasie kończyła medycynę i mówiła „Słuchaj, mam podręczniki wszystkie, wiesz, będziemy tu się uczyć razem”. Siostra o imieniu Wiesława. Wiesława. Alicja była starsza, już

była wtedy mężatką i mieszkała we Wrocławiu, studia skończyła w Krakowie, ale mieszkała we Wrocławiu. Siostra Wiesława mieszkała u niej we Wrocławiu i studiowała medycynę. Więc powiedziałem: „Nie, wiesz co? To ty skończysz te studia, ja będę księdzem, to się gdzieś wybierzemy razem na misję, ksiądz i lekarz to na pewno się przydadzą w takiej misji”. Tak żeśmy sobie gawędzili.

Bogdan Krawczyk: A gdzie młody Jan wtedy mieszkał? Bo siostry we Wrocławiu, a państwo Sikorscy?

Ksiądz Jan Sikorski: W czasie wojny mieszkaliśmy w Warszawie, ponieważ jak wspominałem, przed wojną w końcu ci Niemcy, którzy oglądali nasze mieszkanie, w końcu w nocy przyszli któregoś dnia, pamiętam, że zostałem obudzony, ojciec mi mówił: „Ubieraj się, jedziemy na wakacje”. Dziwiłem się tylko, że zakłada mi taki długi kożuch. To zupełnie nie była pora na noszenie takiego stroju, a po prostu chodziło o wywiezienie czegoś z domu. Przyszli niemieccy żołnierze. Jakiś oficer był i nawet dosyć uprzejmie, aczkolwiek była to noc, powiedział: „Macie pół godziny na spakowanie i wyjeżdżamy”. I ciekawa rzecz, w stołowym pokoju stało pianino, takie jeszcze bardzo nowe, bo krótko przed wojną rodzice kupili mojej siostrze w prezencie, i „Czy ktoś gra?”. „No oczywiście, gra”. To poprosili moją siostrę, żeby zaczęła im grać w czasie tego pakowania się i tego wysiedlenia. Oczywiście tego nie zrobiła. To pamiętam, że dziwiłem się, dlaczego niemieccy żołnierze, dlaczego wakacje, dlaczego to futro. I wyprowadzili nas wtedy z mieszkania.

Bogdan Krawczyk: Jan miał wtedy lat 5?

Ksiądz Jan Sikorski: Niecałe 5 lat, tak. Właściwie 5 lat miałem wtedy, tak, 5 lat. I tak do jakiejś hali, gdzie było mnóstwo ludzi, gdzie nas rewidowali, sprawdzali, czy nie mamy marek niemieckich, bo to przecież był Warthegau, a myśmy jeszcze nie wiedzieli, dokąd nas biorą, ale właśnie oni nas mieli zabrać do Generalnej Guberni. Więc mnie nawet tam rewidowali. Pytali mnie, czy mi tam tatuś gdzieś pieniędzy nie włożył do kożucha. Zresztą wtedy błysnąłem inteligencją bardzo, bo myślałem sobie, nie powiem, że nie, bo to nie uwierzy, więc jakoś muszę to łagodniej powiedzieć. I chciałem powiedzieć: „Zdaje mi się, że nie”, a powiedziałem: „Zdaje mi się, że tak”. I to wprowadziło straszny bałagan, bo zaczęli mnie tam rozbierać. Ojciec mówi: „Proszę zostawić, na pewno nic tam nie ma”, itd. Taki drobiazg z tego wysiedlenia. W tej hali bardzo było nieprzyjemnie, bo to w nocy, mnóstwo ludzi, nie było oczywiście gdzie się położyć, gdzie spać, gdzie umyć, okropne to było. Potem pamiętam, że znaleźliśmy się w pociągu, więc ja już się cieszyłem, że chociaż pociągami pojadę, i mówię: „No, tato, niech ten pociąg już jedzie”. I też pamiętam zdanie ojca: „Lepiej, żeby ten pociąg nigdy stąd nie ruszył”. Tak mi to zdanie w pamięci utknęło. I wyjechaliśmy wtedy gdzieś w kieleckie, okolice chyba, nie wiem, Gór Świętokrzyskich może czy gdzieś, nie wiem. Miejscowość się nazywa Słupia, ale chyba to nie była ta Słupia w Górach Świętokrzyskich, tylko gdzieś obok. Tam po prostu rzucili nas gdzieś tam na pole i miejscowemu sołtysowi kazali porozdzielać tych wysiedleńców po różnych domach wiejskich. I tam jakaś rodzina musiała nas przyjąć. Bardzo krótki czas tam byliśmy, bo oni byli bardzo sympatyczni dla nas, ale wiadomo, że było to dużo obciążenie. Co tu robić? Rodzice wtedy pojechali do Warszawy, ponieważ mama moja była taką już z krwi i kości warszawianką. Tam byli moi wujowie, rodzina w Warszawie i rodzice kiedyś też tam mieszkali, więc w sposób naturalny wróciliśmy do Warszawy. Zamieszkaliśmy na Kolonii Staszica, niedaleko Filtrowej ulicy u mojego wuja.

On był kawalerem, miał wspaniały taki pokój właściwie, taką kawalerkę, to był pedant, wychuchaną, wydmuchaną. I nagle, proszę wyobrazić, do niego się zwała rodzina, troje dzieci, rodzice i w dodatku jeszcze babcia. I w tym małym pokoju zamieszkaliśmy tam w Warszawie. Kiedy się rozłożyło na ziemi te materace do spania, to już drzwi nie można było otworzyć. Ale jakoś na szczęście Pan był łaskaw, że z humorem patrzyliśmy na to, i tak jak w tramwaju się mówiło w Warszawie: „Czy pan wsiada, czy wysiada?”, to jak ktoś tam przechodził do łazienki czy gdzieś, to zawsze padało to pytanie, tak to zapamiętałem, „czy pan wsiada, czy wysiada, w którą stronę się rusza?”, bo to się deptało po tych innych, żeby można było do łazienki przejść. I tam zatrzymaliśmy się u wuja. Wuj miał szerokie serce i jakoś nie narzekał. Zanim jeszcze cokolwiek rodzice się rozejrzeli czy poszukali pracy, czy zajęcia, łapanka pod domem. Jakoś ludzie puciekali, więc żandarmi zaczęli wchodzić do poszczególnych domów. Nasza to była mała taka willa, była parterowa. Więc Niemcy przyszl i akurat zastali i wuja mojego, i ojca jako dwóch mężczyzn. Natychmiast „raus!”, zabrali. Więc płacz. „Nie, nie, tylko sprawdzimy dokumenty. To tylko chodzi o sprawdzenie dokumentów”. To tak nas troszeczkę uspokoiło. I zostali wywiezieni, zabrani. Wuj następnego dnia wrócił, ponieważ już pracował w jakiejś firmie, która miała niemiecką markę, więc był wyreklamowany, potrzebny był, tak. Natomiast ojciec jeszcze nigdzie nie pracował. Wobec tego został zabrany, nikt nie wiedział dokąd. Trwało to kilka dni. I przychodzi list do domu. W liście jakiś taki papier, jakaś tekturka, na której jest napisane: „Jadę gdzieś na południe, nie wiem, co ze mną będzie. Modlę się za was”. Pamiętam coś takiego.

Bogdan Krawczyk: Skąd się wziął ten list?

Ksiądz Jan Sikorski: To znowu dowiedziałem się od ojca potem. Ojciec był w wagonie bydlęcym zapakowany i tak przez szparę tylko widział, że gdzieś tam wszyscy jadą w warunkach okropnych. I wtedy wyjął kawałek kartki, jakieś pudełko, opakowanie czy coś takiego, napisał właśnie te słowa. Miał jakąś tam złotówkę, jedną czy drugą. Zawinął tę złotówkę tam na znaczek i podał nasz adres. I widział, jak taki pastuszek pasie krowy, przez szparę tego bydlęcego wagonu. I wyrzucił to. I prawdopodobnie ten pastuszek podjął to. Był na tyle dobry, że przesłał. I to była pierwsza wiadomość o ojcu, że żyje, aczkolwiek nie wiedzieliśmy kompletnie, gdzie jest. Czekaliśmy na dalsze wiadomości. I już dostaliśmy list po niemiecku, już przysłany z Auschwitz. Nic nam jeszcze to słowo nie mówiło wtedy, bo nie było wiadomo, co to jest. To były dopiero początki tego obozu. I tam ojciec z tego obozu listy przysyłał do nas, bardzo krótkie, rzadko i my też mogliśmy te listy napisać. Trzeba było je pisać w języku niemieckim. Ojciec nieraz tam troszeczkę szyfrem dawał znak, coś tam o sobie mówił jakiś takim szyfrem, żeby mama się mogła zorientować, jakiś tam, mama tam to jakoś nazywała po swojemu, to on właśnie mówił taką okrężną drogą, co się z nim dzieje, ale na ogół były to listy takie: „Żyję, jestem, pamiętam o was, jestem zdrowy, dobrze się czuję”, przeważnie tylko tego typu to były informacje. Warunki nasze były wtedy ogromnie trudne. Mama nie miała pracy. Mama miała jakieś tam kursy nauczycielskie, ale nigdy w życiu nie pracowała, zawsze jakoś ojciec dom utrzymywał, zajmowała się dziećmi. I pamiętam tylko, że znowu znajomi z Kalisza, Niemcy czy tam, powiedzmy, rodziny ich w Warszawie, kiedy się z nimi spotkaliśmy, zaproponowali mamie pracę w kasynie oficerskiej niemieckiej. I akurat byłem przy tym, kiedy ta propozycja padła.

Bogdan Krawczyk: W którym kasynie?

Ksiądz Jan Sikorski: W jakimś kasynie, nie wiem jakim, zupełnie nie wiem, jakaś stołówka. Wiem, że miało to być dla oficerów niemieckich. Ktoś przyszedł z tą propozycją, że to świetna praca, bo w końcu nie taka bardzo kłopotliwa, a jakieś pieniądze z tego będą. I wtedy mama zdecydowanie powiedziała: „Jak to? Mój mąż w Oświęcimiu? Polska w niewoli? Nigdy”. I odpowiedziała „nie”. I drugie takie „nie” padło jeszcze, co trzeba było ze mną robić. Ja byłem taki mały, ale coś powinienem robić, w tym ciasnym mieszkaniu nie będę siedział przecież, do jakiejś szkoły. I też ktoś przyszedł i powiedział: „A może by tak się postarać do szkoły niemieckiej?”. Ja zadrżałem wtedy i oczywiście też kategoryczne „nie” ze strony mamy było. I tak to „nie” jakoś zostało mi w pamięci. To „nie”, które w Kaliszu spowodowało nasze wysiedlenie i utratę wszystkiego, i tułaczkę, potem w konsekwencji wszystkie inne historie. I to „nie”, które tu bezpośrednio mnie dotknęło, że ja wiedziałem, że nigdy do żadnej niemieckiej szkoły nie pójde, chociaż byłem małym chłopcem. Chodziłem natomiast do przedszkola, bo coś musiałem ze sobą zrobić, to na ulicy Mianowskiego takie było prywatne przedszkole i zrobiono w czasie okupacji tam tajną szkołę.

Bogdan Krawczyk: Na Ochocie?

Ksiądz Jan Sikorski: Na Ochocie, tak. To było tak między Filtrową, plac Narutowicza, w tym rejonie, Kolonia Staszica się nazywało, bardzo taka piękna zresztą dzielnica. I ta szkoła, która normalnie drogo kosztowała, ale ze względu na naszą sytuację przyjęli mnie tam bez pieniędzy, siostra moja też do tej szkoły chodziła. Była zdolną uczennicą, więc też ją tam przyjęli. To była wielka uprzejmość i właśnie dobroć tych ludzi. I pamiętam, że szkoła była tajna, więc ja, mając tam niecałe 6 lat, powiedzieli: „A to może go damy do pierwszej klasy?”. I wszedłem. „Jak sobie da radę, to niech siedzi, jak nie, to wróci do przedszkola”. I wiem, że ja taki bardzo niezaradny jeszcze dzieciak poszedłem do tej pierwszej klasy, zacząłem się uczyć literek, alfabetu itd., elementarza. Jakoś sobie poradziłem i związku z tym bardzo szybko rozpocząłem szkołę, mając niecałe 6 lat. Potem matura przyszła bardzo prędko itd. Ale przez wojnę właściwie nie straciłem nic, choć przecież później były różne inne wydarzenia. Sytuacja nasza oczywiście była dramatyczna, bo i materialnie, tam coś z tej Generalnej Guberni jakieś pieniądze tam mama miała, ale to się wszystko kończyło. Pracy jakoś tam dorywczo mama szukała gdzieś, co mogła, to jakąś pracę tam brała, a tu przecież dzieci, które trzeba ubrać, nakarmić, babcia, która też nie pracowała. Wujek wprawdzie pracował, ale to przecież jedna pensja. I to ogromnie ciasne mieszkanie. Na szczęście byli ludzie, którzy nam pomagali. Wiem, że nawet obiady do domu siostra moja przynosiła od znajomych, że nie zawsze musieliśmy w domu te obiady gotować. Natomiast, co sobie bardzo mile wspominam, bo jako dziecko tak dramatyzmu tej sytuacji nie odczuwałem, dzisiaj, jak patrzę na to, to wiem, że to była sytuacja naprawdę tragiczna, ale jako dzieciak to się dość szybko adaptowałem do tego. A poza tym mama miała taki piękny zwyczaj, że w niedzielę zawsze razem wszyscy chodziliśmy do kościoła na Mszę świętą, często jeszcze do kaplicy Sióstr Felicjanek. Chodziliśmy do kościoła św. Jakuba, różnie. A po Mszy świętej szliśmy do Gajewskiego, do eleganckiej cukierni, znanej w Warszawie, i tam było kakao. Ja sądzę, że mama więcej wydawała na to kakao niż na tygodniowe utrzymanie nasze, ale zawsze to kakao z pianką, które ja uwielbiałem, wtedy w tej kawiarni dostawaliśmy. I potem kiedyś mamy zapytałem: „Mamo, straszne pieniądze traciłaś na tę kawiarnię po kościele”. Mówi: „Nie chciałam, żebyście się czuli upodleni”. I za to szczególnie jestem, zresztą my wszyscy, całe moje rodzeństwo, mamie wdzięczni, że mimo tych tragicznych warunków zachowaliśmy jakiś pewien taki styl, taką pewną godność. Kościół był tutaj dla nas też takim miejscem, gdzie czuliśmy się w społeczności polskiej katolickiej, wśród ludzi w jakiś tam sensie normalnie żyjących, chociaż nasze życie w tym momencie było zupełnie nienormalne.

I potem jeszcze było jedno wydarzenie, o którym muszę wspomnieć. Wiem, że mama, mówiły mi siostry, że odprawia nowennę. Mnie się to kojarzyło z rynną. Myślę, co tam mama z tą rynną nowenną robi. I mama tę nowennę skończyła. I potem, proszę sobie wyobrazić, poszła w aleję Szucha, tam gdzie było gestapo, i z jakąś determinacją weszła do środka tego domu, nie mając żadnej przepustki. To było po prostu coś niezwykłego. Weszła do, tak jak sama potem opowiadała, nie wiedziała, gdzie idzie, w jakikolwiek korytarz.

Bogdan Krawczyk: Co to było gestapo? Bo młode pokolenie to już nie odróżnia.

Ksiądz Jan Sikorski: Centrum gestapo warszawskiego, cała ta głowa. Komenda policji i całe to tajne, to główne miejsce polityczne, gdzie wyłapywano Polaków, gdzie ich prześladowano, gdzie wydawano wszelkie rozkazy o mordowaniu, o zniszczeniu. Całe, że tak powiem, serce tych prześladowców naszych i mózg właściwie to było tam. Jak się mówiło w czasie okupacji „aleja Szucha”, to wszyscy dostawali gęsiej skórki. Potem jakby w pewnym stopniu Pałac Mostowskich brzmiał podobnie. Ktoś został wzięty do Pałacu Mostowskich, było wiadomo, o co chodzi, a tu się mówiło, że został wzięty na aleję Szucha. Tam zresztą w podziemiach byli Polacy mordowani, więzieni. Jest w tej chwili muzeum, można te cele prześladowań oglądać. Tam ginęli Polacy, o czym zresztą wtedy jeszcze tak wszyscy nie wiedzieliśmy. – Ale mówimy o tej dzielnej kobiecie. – Mama tam z determinacją weszła, dostała się do środka, zapukała w pierwsze lepsze drzwi, nie znając języka niemieckiego. Śmiałem się zawsze, tylko umiała „Hitler kaput” i nic więcej. I zaczęła mówić po polsku. O dziwo, oficer, który tam był, rozumiał język polski. „Jak pani tu się dostała?”. Był tak zaskoczony, że zaczął z mamą rozmawiać. I mama wtedy mówi: „Słuchajcie, nie rozumiem. Wy jesteście narodem kulturalnym. Z jakiej racji zabraliście męża, który jest Bogu ducha winien? I dzieci moje, i wszyscy w tej chwili jesteśmy w takim strasznym poniżeniu”. I ten Niemiec, przypuszczam, że z tego zaskoczenia, mówi: „No, ja będę niedługo w Berlinie. Proszę napisać podanie. Ja pomyślę, czy się czegoś nie da zrobić”. To było coś nieprawdopodobnego. Wiem, że prędko mama wróciła do domu. Tam znajomy taki był, który po niemiecku tam sformułował to podanie, mama to zaniósła. Czekaliśmy kilka miesięcy. Niemcy do tego podeszli solidnie. Nawet wywiad był w tym naszym mieszkaniu, czy rzeczywiście sytuacja jest taka dramatyczna. Notabene była wtedy w mieszkaniu tylko moja babcia, która jest optymistką, i mówiła, że jest jej bardzo dobrze. Niemniej sytuacja była okropna. Któregoś dnia zimowego, zimowej nocy kula śniegu w okno, było pierwsze piętro. Mama otwiera okno. Ojciec. Po półtorarocznym pobycie w więzieniu wrócił zmieniony, nie do poznania. Ja nawet nie umiałem powiedzieć mu „tato”. Pamiętam, że miałem duży problem, kiedy on sadzał mnie koło siebie i ze mną rozmawiał. To ja mówiłem tak per „on”, żeby nie użyć słowa „tato”, bo się po prostu odzwyczaiłem, choć oczywiście za tatę się modliliśmy i żył w mojej pamięci, ale po prostu odzwyczaiłem się trochę. To oczywiście trwało tylko kilka dni.

Bogdan Krawczyk: Ale to odmieniony przyszedł?

Ksiądz Jan Sikorski: Historia prawie jak u Władka Bartoszewskiego. – Więc to była zupełnie przedziwna historia. To niewiele takich osób było. Tak że wiem, że nawet po wojnie ojciec musiał tam jakieś rehabilitacje przechodzić, czy przypadkiem folksdojczem nie został czy czymś, to wszystko oczywiście szczęśliwie przeszło, bo miał tam kartę bardzo czystą, piękną, zresztą wręcz cudowną, bo to, co się z nim działo w obozie, też już był krok od śmierci i chyba modlitwa go ocaliła. Mówił mi, że jak stał na apelu, właśnie najgorzej nie mógł znieść tego poniżenia. Powiedział,

że nie da się nikomu uderzyć. I w momencie, kiedy Niemiec chciał go właśnie uderzyć, drugi upomniał się o niego w tym momencie. I ojciec mówi, że już szykował się, że odda i że to będzie ostatni jego gest w życiu. Był przekonany, że zginie, ale mówi, codziennie na tym apelu stał, nawet mi powtarzał, ja nie zapisałem tej modlitwy, szkoda, jakimi słowami za nas codziennie za całą rodzinę się modlił, „I kiedy oni nas tak poniżali, ja patrzyłem w niebo”. Mnie to jakoś bardzo zaimponowało. Ojciec przyszedł, mężczyzna, więc zaczął się zaraz zajmować tym, że może mieszkanie itd. zmienić. I w tym czasie zmniejszano getto. Był to czas budowania muru wokół getta. I część mieszkań żydowskich została wolnych. I jedno z takich mieszkań żydowskich na Franciszkańskiej 12, tuż przy murze getta, dano właśnie nam. Mieszkanie było okropne. Zapuszczone, ale nie był to jeden pokój dla wszystkich. I tam żeśmy zamieszkali. Notabene, jako ciekawostka, może dodam, że już po wojnie, w ostatnich czasach, teraz, kiedy ci żołnierze Batalionu „Zośka” prosili mnie, żebym kapelanował im na miejsce księdza, który zmarł, poprzedniego kapelana, autentycznego uczestnika walk itd. Ja tak z pewną nieśmiałością, bo cóż? Ale byłem na tych uroczystościach, składałem życzenia na Boże Narodzenie, dzieliłem się opłatkiem i wspominałem, że właśnie mieszkaliśmy Franciszkańska 12. „Co?!”, krzyknęli, zwłaszcza ten Świs, który tam siedział obok mnie, „Jak to?”, mówi. „Przecież myśmy tam mieli swój sztab, myśmy mieli tam swój szpital”. „Księżę”, powiada, „kapelanie, to my jesteśmy z tego samego domu”. I tak jakoś Opatrzność nas łączyła, o czym ja nie wiedziałem, że w tym samym domu, to była duża kamienica, po której dzisiaj żadnego śladu nie ma, że mieszkaliśmy właśnie tuż obok tych właśnie Zośkowców. Wiem, że siostra moja starsza należała do harcerstwa podziemnego.

Bogdan Krawczyk: Alicja?

Ksiądz Jan Sikorski: Alicja. I wiem, rozmowa taka trochę jak przez dziecko prawie podsłuchana, jak rozmawiała z moją starszą, a swoją młodszą siostrą na temat problemów moralnych. Oni coś roznoszą, czy gazetki, czy jakieś tam informacje, czy wolno im mieć ze sobą truciznę. I to był taki, pamiętam, pierwszy problem moralny, teologiczno-moralny, który jakoś tak do mnie dotarł wtedy, rozpatrywany, jak właśnie się dowiedziałem, z księdzem gdzie się właśnie zastanawiali, czy to jest moralne, czy nie. I wtedy jako mały dzieciak jeszcze też jakoś na tym trochę zastanawiałem. Tam żyliśmy na tej Franciszkańskiej 12 w miarę już nie w jakimś takim poniżeniu okropnym materialnym, tylko sytuacja już była trochę lepsza. Ojciec tam jakąś pracę znalazł i już mogliśmy jakoś normalnie żyć.

Bogdan Krawczyk: Siostra konspirowała, a ojciec?

Ksiądz Jan Sikorski: Siostra konspirowała, ojciec nie konspirował, przynajmniej nic nigdy na ten temat nie mówił. Po obozie oświęcimskim był właściwie tak jakoś spłoszony, że nie było wtedy mowy o tej konspiracji. O konspiracji mówiła w domu jedynie moja siostra, tym bardziej że byliśmy wyrwani ze środowiska, bo to mieszkaliśmy w jednym miejscu, w drugim miejscu, więc nie było, tylko szkoła była tym punktem takim zaczepienia.

Bogdan Krawczyk: A gdzie była szkoła?

Ksiądz Jan Sikorski: Jej szkoła to była szkoła zawodowa, ponieważ nie było liceum w tym czasie, to była oficjalnie szkoła gospodarstwa domowego. Była śmieszna historia, pamiętam, siostra opowiadała, jak nauczyciele mieli

przed sobą jakieś garnki, warzywa, siostra już była na etapie szkoły średniej. I oczywiście uczyli polskiego, historii, była to po prostu normalna szkoła średnia, ale normalnie kiedy przychodziła jakaś wizytacja czy coś, to one się brały do tych garnków, krajały cebulę i takie różne historie. Że to niby była szkoła handlowo-gospodarcza, coś takiego. Wiem, że o takim profilu, bo po wojnie siostra zaczęła chodzić właśnie do szkoły, jak to się nazywało wtedy, handlowej i skończyła tak zwaną handlówkę i później studia ekonomiczne już w tym kierunku, ale była to właśnie tego typu szkoła zakamuflowana. Natomiast siostra moja młodsza i ja chodziliśmy razem właśnie do tej szkoły pani Zawadzkiej, jak to myśmy nazywali, Zawadziory, do tej takiej tajnej szkoły prywatnej. Jakoś mama nie chciała, żebyśmy chodzili do szkoły publicznej. Potem już ze Starego Miasta przyjeżdżaliśmy codziennie. Ja byłem bardzo dumny jako młody chłopiec, że 13 przystanków, tramwajem przez całą Warszawę przejeżdżałem właśnie na plac Narutowicza, żeby potem się znaleźć na Franciszkańskiej. I po drodze mam właśnie te straszliwe wspomnienia, plac Narutowicza, gdzie widziałem, jak żandarmi niemieccy kopią polskie kobiety, które tam miały jakieś bułki i warzywa czy coś, próbowały sprzedać, handlować, przy mnie, widziałem, jak bił kolbą i kopał kobietę, która się przewróciła na ziemię. To wszystko w pamięci zostawało. Potem, kiedy było na Barskiej ulicy rozstrzeliwanie grupy Polaków, też byłem niejako świadkiem tego, bo chwilę potem byłem, patrząc, jak ludzie w te dziury po kulach wkładają obrazki święte, jak rzucają kwiaty, ta krew jeszcze była świeża na tych murach. Potem, pamiętam, Miodowa, róg Krakowskiego Przedmieścia. Też kiedyś wracałem do domu, bo tam jeździł tramwaj ulicą Miodową jeszcze wtedy, i też właśnie byłem krótko po egzekucji Polaków, tak że ten cały taki nastrój, klimat okupacyjny, czytanie tych różnych gazetek, które jakoś tam do nas docierały, te rozmowy, wszystko to mi towarzyszyło. A z drugiej strony getto, które z okien domu właściwie mogłem widzieć. I pamiętam to powstanie, które w getcie wybuchło. To było w okresie wielkanocnym. Nawet ktoś tak powiedział: „To taki ogień, że można by na ulicy szynkę wędzić”, bo to było akurat tuż przed świętami. I pamiętam, jak Niemcy spod tego muru getta tam przechodzili. Bardzo też byli wystraszeni, tam strzelali. Natomiast Polacy w tym czasie, czego byłem też świadkiem, i to mnie jakoś bardzo podbudowywało, przerzucali przez mur getta paczki, ponieważ jechał tam tramwaj, więc wyskakiwali z tramwaju, wrzucali przez mur getta paczki i dalej próbowali wskakiwać do tego samego czy do innego tramwaju, czy też gdzieś między ludźmi się schować. Było to rzeczywiście ogromne bohaterstwo. Ja oczywiście byłem za mały na jakąkolwiek konspirację, ale marzyłem o czymś takim. Wiem, że tylko 8, tak, raz mi się tylko udało z jakimiś chłopcami, którzy szli, mówię: „Słuchajcie, jest łapanka, ostrzegajmy ludzi, że jest łapanka”. Tam żeśmy wskakiwali gdzieś do tramwaju niedaleko placu Krasińskich i krzyczeliśmy „łapanka!”. Ludzie wtedy uciekali w popłochu z tego tramwaju. Ja pamiętam, może nie czułem grozy tej sytuacji, ale byłem dumny, że ja tutaj taki mały powoduję to, że ludzie być może będą przez to ocaleni. Wiem, że byłem bardzo dumny z tego swojego akcentu konspiracyjnego. Samo powstanie... W Choszczówce mieliśmy ciotkę i tam na tak zwane weekendy, jak to się dzisiaj powiada, na niedzielę wyjeżdżaliśmy czy dłużej, jak to były wakacje, po prostu na świeże powietrze. I tuż przed powstaniem właśnie wyjechaliśmy do tej ciotki do Choszczówki. Przyjechał do nas ojciec i już nie wrócił do Warszawy, bo wybuchło powstanie. I cała grupa warszawiaków, która tam mieszkała wtedy, przeżywalismy wtedy te chwile powstania, widząc, jak płonie Warszawa. Mam to jeszcze w oczach, te kolorowe pociski, które tam latały, łuny, które nad tą Warszawą unosiły się, gazetki, które do nas docierały. I czasami również w Choszczówce pojawiali się partyzanci, ale to widziałem ich tylko tak, że mogłem ślady stóp obserwować. To żeśmy chodzili z kolegami i patrzyli: „Patrz, tutaj był partyzant”. Kiedyś nawet taka grupa miała rannego, wpadli do nas: „Gdzie jest lekarz?”. Wtedy moja siostra, niewiele starsza ode mnie, zerwała się i mówi, w nocy to było: „Ja was zaprowadzę”, ku rozpaczcy zresztą całej rodziny, bo to mała dziewczynka jeszcze wtedy, i tutaj partyzanci. Wiem, że byłem dum-

ny, że moja siostra właśnie zaprowadziła rannego partyzanta do lekarza. Później w tej Choszczówce stacjonowali Niemcy, takie tankietki lekkie z żołnierzami wojskowymi, to chyba byli jacyś studenci, młodzi, nawet, powiedziałbym, sympatycznie wyglądali, chodzili tam, śpiewali, tak jakoś kontrastowało to z tym, co wiem o Niemcach, z tymi młodymi, którzy jeszcze wtedy w eleganckich mundurach, w tych ładnych tankietkach, do których zaglądałem, bo mnie jako chłopaka to interesowało. To nie byli tacy żołnierze frontowi. Jakiś czas tam byli, a później już przyszli tacy żołnierze gorsi, frontowi, przed którymi trzeba było się bardzo chronić. I tak zewnątrz. A gdy chodziło o uratowanie siebie, bo bez przerwy trwały tam naloty, to ojciec tam wykopał taki ogromny dół, przykrył to belkami i taki prowizoryczny schron zrobił dla nas. I całe szczęście, bo potem pięć tygodni siedzieliśmy w tym schronie, ponieważ było to miejsce, gdzie stanęła ta armia radziecka i gdzie były ataki takie artyleryjskie, bardzo mocne, tak że bardzo to przeżywałem. Ten dom, ta willa ciotki została prawie że na poły zniszczona, a myśmy siedzieli w tym schronie kilka tygodni. Było to rzeczywiście przerażające. Ale wtedy też miałem taki epizod, żeśmy się zetknęli z dobrymi Niemcami, bo nawet przywozili chleb. Jeden, który mieszkał tam u ciotki w domu, nawet przynosił nieraz jakąś konserwę, tak że mogliśmy nawet z tego korzystać. A kiedy się wynosili stamtąd już, to nawet powiedział, gdzie będą stacjonować, że jeżeli wiedział, że nas stąd wygonią, to mówi: „Bądźcie tu i tu, nasz pułk będzie tam stacjonował, to ja wam pomogę”, więc w tym momencie bardzo się narażał, tej pomocy udzielając. Ale był to dla mnie też taki gest znaczący, że zobaczyłem, że w tych ludziach, w tych Niemcach, straszliwych Niemcach, którymi gardziłem jakoś po dziecięcemu, można powiedzieć, nienawidziłem, zobaczyłem również ludzi.